

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VIII.

Warszawa, dnia 24 czerwca 1916 roku

Nr 26.

Z martyrologii polskiej.

2

II.

Ofiary Sybiru z powstania 1863 r.

Nie jest i może nigdy ustaloną nie będzie liczba ofiar polskich, jakie pochłonął mroźny Sybir między 1861 a 1866 latami. Tę liczbę statystyki narodowego ofiarnictwa pragnęlibyśmy jednak zdobyć, dla historii, dla pamięci, dla orientacji. Na pierwsze wejrzenie zadanie wydaje się nie trudnem do podolenia przy pilności i dostępie do źródeł. Niestety, źródła są jednostronne, rosyjskie wyłącznie. Myśmy, krwią ociekli, tyranią przygnieceny, wybuchów rozpaczny rachować nie zdołali. Co głosi jednak wymowa cyfr, przez urzędowe organy zbierana? Chwiejne i niedokładne podaje ona liczby, od rzeczywistości strasznej niższe. Tak sądzi pracowity nasz historyk powstania 63 roku, Walery Przyborowski, który dokonał jedynej, o ile wiemy, poważniejszej próby osiągnięcia prawdziwej liczby polskich ofiar Sybiru. Zestawił mianowicie dane urzędowe i poddał je krytyce.

Te dane od 1861 r. rosną z przerażającą szybkością. Kilkudziesięciu wygnańców za organizację manifestacji kościelnych, oto co porwał Sybir w 1861 r.; do setki zesłańców za udział w różnych kółkach tajnych, oto plon nieszcześcia narodowego w 1862 r. Ale przychodzi rok 63, rok krwawych bojów i bohaterских wysiłen, a Sybir hojniej staje się zaludniony przez 524 polskich wojowników. Tysiące ich już jednak wtrącono do więzień, a wysyłka na Sybir wstrzymana dlatego, że może jutro, pojutrze coś jeszcze do skąpych zeznań dodadzą, z czemś się zdradzą, kogoś mimowolnie wydadzą. Gdy Tuholka stracił nadzieję wyci-

śnięcia z więźnia nowych informacji, ofiara już tylko czeka na większą partycję, aby z nią w krainę lodów wyruszyć. Rok 1864 zaznaczył się w martyrologii polskiej 10,649 ofiarami. Potem fatalna liczba roczna spada, ale nie tak prędko, jak się podwyższała: 1865 r. notuje 4,761 ofiar, 1866 r. zapisuje ich 2,829. Tyle mówią ponure roczniki syberyjskie. Ogólna liczba ofiar wynosiłaby 19 tysięcy, — gdyby była dokładna.

Ale dokładną nie jest. To podkreśla Maksimow, rosyjski monograf katoggi. To tłumaczy Przyborowski. Władze rosyjskie, aż do oddania statystyki kompetencji ziemstwa, nie rozumiały ani celu, ani wartości systematycznego zbierania danych. Przytem ta funkcja należała do najdrobniejszego gatunku urzędników, a więc najmniej inteligentnych. W dodatku wielki napływ zesłańców polskich w 1864 r. wywołał w urzędach syberyjskich zamieszanie, wśród którego tem mniej radzić sobie zdołano ze statystyką. Do tego wszystkiego przyłączyła się następująca okoliczność: wielu zesłanych pierwotnie do gubernii europejskiej Rosji posuwano następnie na Sybir. Dlaczego? Na razie, gdy jeszcze nie są ogłoszone dokumenty urzędowe z lat owych w komplecie, domyślać się tego tylko wolno. Prawdopodobnie tak postępowano z tymi, którzy byli obciążeni nowymi zeznaniami; nowo aresztowanych. Być też może, iż władze stały się okrutniejsze skutkiem nawolowań Katkowa i domagań się Murawiewa. Przyborowski oblicza w przybliżeniu na 10 tysięcy tę kategorię zesłańców. W większości wypadków posłano ich do t. zw. „Prykazu” w Tobolsku bez dokumentów, krótkim porządkiem administracyjnym, a ów „Prykaz” zbyt wiele miał do roboty z przyjmowaniem i

rozsyłaniem takiej masy więźniów, aby bawić się jeszcze w sporządzanie systematycznych tablic statystycznych. Nie są również w statystyce rosyjskiej zanotowane żony, matki i dzieci, których jednak kilka tysięcy podążyło za mężami, synami i ojcami. Wraz z zesłańcami do rot aresztanckich i osiedlonymi w Rosyi europejskiej otrzymamy więc, zawsze wedle Przyborowskiego, ogólną liczbę:

pięćdziesięciu tysięcy ofiar,

z których przeszło połowę wyrwano z ojczyźnej ziemi bez sądu, bez obrony, bez żadnej pomocy, jaką daje oskarżonemu prawodawstwo krajów cywilizowanych.

Wedle urzędowych danych Syberji Wschodniej, rozmieszczono tu zesłanych: szlachty 4,252, duchowieństwa 226, mieszczan 1,148, włościan 849, cudzoziemców 385. Więcej nad połowę każdej tej liczby wtłoczono w katogę.

Rzecz dziwna, — choć dziwne rzeczy są w rosyjskim świecie zwykłe od normalnych. — najcięższą męką na polskich powstańców spadła sama podróż na miejsce kaźni, a stosunkowo łagodnie obchodziła się z nimi katogę. Liczne pamiętniki to potwierdzają. Do granic Syberji Wschodniej wieziono zesłańców koleją, w przepchanych i dusznych wagonach, albo statkami. Od Aczyńska pędzono już ich pieszo, skutych po dwu, albo do łańcucha ogólnego włączonych. Wyznaczono im po 4 kop. dziennie na życie, głód bywał więc stałym gościem i prowadził do chorób zakaźnych, tak prędko się szczypiących na wyczerpanym organizmie. Na etapach brud panował straszliwy i robactwa pełno. Szpitale nie zasługiwały w żadnej mierze na swe miano: były to ciasne izby bez wszelkiej wygody, a pełniono tu zarówno przeziębionych, jak syfyoidalnych. Lekarz ledwo się pokazywał, felczer również prędko zniknął i pozostawał stróż szpitalny, sam aresztant, a nie-raz i morderca, który dusił chorych.

aby ich grabić. Śmiertelność wygnaćców w tej kalwaryjnej drodze była też wielka; w permskim szpitalu np. umierało po stu na miesiąc.

Katorga natomiast nieco mniej strasznie zbliżka wyglądała. Ograniczała się zwykle dla Polaków do bezczynnego życia w „ostrogu”, w warunkach więziennego samorządu, w kółku polskim, często mocno zsolidaryzowanym z sobą. Do robót taczkowych pędzono Polaków rzadko, dla formy więcej, niż dla pracy. Co potwierdza i Dostojewskij w „Zapiskach z martwego domu”.

Na osiedleniu gorzej było. Tu wygnaćców rozrzucano pojedynczo, a okrutne przepisy nie pozwalały im zajmować się niczem innym, oprócz grubych robót polowych, co tylko wyjątkowo zdrowemu i silnemu nieszcześliwcowi mogło posłużyć do zarobku. Murawiew usiłował tę strasznią dolę uczynić jeszcze rozpaczliwszą; proponował, aby wygnaćców nie rozrzucić po miasteczkach i wsiach rosyjskich, tu bowiem „z

wyraźna nienawiścią do rządu i nie mając nad sobą ścisłego nadzoru, będą rozpowszechniać swe szkodliwe idee”, lecz aby ich skoncentrować w dwóch albo trzech najdalszych punktach państwa, jak np. w północnych i pustynnych częściach gubernij Archangielskiej i Wołogodzkiej, albo w Jakuckiej Oblaści, wielkich pustyniach bagnistych. Powoływał się na przykład Francję i Anglię, które przestępców wysyłają do dalekich kolonii zamorskich. Ale minister spraw wewnętrznych, liberalny Wałujew, zbił skutecznymi argumentami te okrutne propozycje. Śród tych argumentów są takie, jak niemożność tworzenia kolonii tam, gdzie uprawa roli jest niepodobną, ale też i takie, jak trudność dozoru policyjnego w odosobnionych a dalekich stronach. W każdym razie propozycje Murawiewa upadły.

I bez tego nadmiaru niedoli zreszta martyrologia polskich zesłańców była straszna.

A. Wierzynek.

Gustaw Daniłowski.

POWIEŚĆ.

LILI.

10

Mówił jasno, gładko, treściwie i przekonywująco, ilustrując swe przemówienie planami.

To też po krótkiej dyskusji sprawa została w zasadzie załatwiona; pozostawała tylko kwestya dużego, pustego placu, który miał zapewnić domom słońce i powietrze, a który należało jakoś zużytkować. Zjawiły się różne propozycje.

Gessnerowie proponowali wystawić po środku wielką hallę sklepową w rodzaju Sukiennic; Mierosz — teatr; Koronowicz napomknął, że możeby się dało uzyskać pozwolenie na pomnik Szopena lub Słowackiego. Pomnik stałby się prawdziwą ozdobą nowej dzielnicy. Projekt ostatni został zakwestyonowany, jako rzecz wymagająca silnych starań u władz. Zaczęto wreszcie krytykować projekt Brunona.

W toku tych rozpraw Lili, która się nie mieszała do dyskusji, rzekła półgłosem do Załęskiego:

— A ja bym założyła park!

— Panowie — odezwał się Załęski — pani Aniela prosi o głos.

— Ależ nie — zmieszkała się Lili.

— Ależ tak, znakomity pomysł! piękny i praktyczny. Niech pani mówi — nalegał Załęski.

— Założyłabym ogród — wymówiła zakłopotana Lili.

— Ogród? — stuknęła się w głowę Brunon — że też mi to na myśl nie przyszło!

warzystwo robi się za wesołe, przez wzgląd na Lili dał hasło do wyjścia.

Gdy goście opuścili zebranie, Brunon widocznie zmęczony siadł na fotelu i przymknął oczy.

— Zmordowałeś się — przysiadła na poręczu Lili, biorąc w ręce jego gorące skronie.

— Tak, istotnie, w ostatnich dniach orałem dużo i teraz dopiero to czuję, a czeka mnie jeszcze szmat roboty; będę musiał dłużej bywać po za domem; całe biuro techniczne na mojej głowie. Ogród ten, to ci się udał, moja złota główko! — wzięła ją na kolana i przygarnął silnie, całując i uwalniając powoli z sukien. Podniósł i szedł.

Lili zwiśla w jego objęciach, słyszała szybkie bicie jego serca i jakby w jego takt zbierające w piersiach pełne fale rozkoszy.

Ta rytmiczna rozlewność wzruszeń była jedna z najbardziej odczuwalnych dla Lili cech miłosego stosunku do Brunona.

Miłość Brunona była jakby bardziej spokojna, mniej gwałtowna, pozbawiona jednak tych subtelnych, drażniących wszystkie fibry dreszczów, które w niej wzbudzały nerwowe pieszczoty poety. W ramionach Brunona budziła się i wypełniała ją silna, spokojna rozkosz, jędrna i zdrowa, w której jakby rozzmysłowało się jej serce, ubywało coś z duszy, ogarniała sytość i lubość, rozleniwiona senność. W miłości tej jakby zamierała jej umysłowa pobudliwość i pozostawało coraz więcej pustych kart w jej notatniku, w którym starała się sobie uświadomić wiele rzeczy, a zwłaszcza usiłowała dotrzeć do zagadnienia swej podwójnej miłości, która czasem zdawała się jej pewnym zboczeniem, a czasem znów naturalną konsekwencyą tej ich, jak to obserwowała, niekompletności.

Zdawało się jej, że gdyby znalazła człowieka, któryby łączył w sobie ich różne cechy, mogłaby przy nim pozostać stale, nie odczuwając tęsknoty do odmiany klimatu ducha. Przypuszczała, że, gdyby miała dziecko, mogłaby zostać przy ojcu, i przychodziła jej na myśl jakby cicho uśmiechnięta refleksya, że, gdyby nim był Stefan, miałaby właściwie dwoje, a potem ogarniał ją nagły smutek, że to dziecko mogłoby odziedziczyć odzyskującą się jej chorobę serca i z powodu tego jakby trwoga.

Brunonowi nie przyznawała się do drobnych zakłóceń, których doznawała coraz częściej — przychodziło jej to tem łatwiej, że Brunon większą część dnia spędzał w biurze, po za domem, załatwiał dopiero pod wieczór, a czasem, zasiadłszy się, na noc dopiero wracał.

Kiedyś jednak wszystko się wydało:

Lili w nocy zrobiło się tak duszno i straszno, że zbudziła Brunona.

Telefonem ściągnęli lekarze zarządzeni uspakajające środki, zalecili

absolutny spokój, a po konsylium orzekli, że jest to nieuleczalna wada serca, z którą jednak w pomyślnych warunkach długo żyć można, choć i nagle katastrofa nie jest wykluczona. Był to dla Brunona prawdziwy cios, zwłaszcza w chwili, gdy był zapracowany po uszy i musiał wyładować całą swą czynną energię.

Chcąc jaknajwięcej być przy Lili, brał robotę do domu.

Gdy musiał siedzieć w biurze, telefonował do niej, zapytując o zdrowie.

— Bardzo dobrze — odpowiadała mu i, jak dziecko, przesyłała po zdrowienia.

I rzeczywiście ataki ustaly, a troskliwość Brunona ujmowała ją tak silnie, że chęć powrotu do Stefana, do którego zaczęła się rwać jej dusza, przygasła.

Harmonii ich pożycia nic nie mąciło, prócz chyba listów Stefana.

Ilekroć Brunon wręczał jej dobrze wypchaną kopertę, mówił niechętnie:

— Jest znowu cały rękopis. Nie rozumiem zupełnie, jak można tyle napisać: „zdrow jestem, powodź mi się tak a tak; robię to i to“, no, maximum cztery stroniczki, ale cały tomik, broszurka — to mi się we łbie nie mieści!

— Bardzo proszę! — oponowała nieco dotknięta Lili — on o sobie nigdy nic nie mówi. — i szła odczytywać te pełne poezji kartki, które czyniły na niej wrażenie, jakby głos z innego świata.

Były tam i serdeczne zwierzenia, i wybuchy tęsknoty, i gorące, ogniste akcenty miłości, wielbiące jej wiersze, czasem lekkie, jak puch kwiatny, to znów w zdaniach tak realnych, w wyrazach tak plastycznych, że aż nieprzystojnych. Nie brakło też chwilami słów złośliwych, ironicznych, od których wzdrygało się boleśnie jej serce.

Lili nie odpisywała właściwie na te listy; posyłała, jakby pomijając je zupełnie, krótkie, serdeczne kartki, napomniawszy też o swojej chorobie, uniemożliwiającej szybkie ruszenie się z miejsca.

I rzeczywiście, jakkolwiek ataków nie było, czuła się stale niedobrze; doświadczała pewnych jakby zaleknień w nocy, ciężkich koszmarów we śnie, niezrozumiałych obaw samotności.

Z tego powodu pragnęła, by Brunon spał w jej pokoju, ale żenowała się o tem mu powiedzieć w obawie fałszywych wniosków.

Starala się za to wieczorami dłużej zatrzymać go przy sobie, a gdy go nie było, paliła stale światło, by nie budzić się w potach trwogi, w ciemności.

Brunon to zauważył i usilnemi prośbami wydobyl wreszcie prawdę. Obyło się znowu konsylium z tym samym skutkiem.

Wszystko zmieniło się o tyle, że do pokoju Lili przybyła otomana, na której Brunon na wpół rozebrany u-

siłował czuwać, co mu się zresztą niebardzo udawało; nieraz zasypiał jak kamień i mocno chrapał.

Od Stefana tymczasem nadchodziły coraz gwałtowniejsze listy, w których nieraz odzywała się gra rozigranej wyobraźni, ale często prawdziwy, szczery jęk zbolelej duszy.

Żal za nim wzrastał i Lili zdecydowana była jechać, ale przy pakowaniu zrobiło jej się słabo, a w nocy nastąpił tak gwałtowny atak, że Brunonowi włosy stawały na głowie, był bowiem pewny, że umiera.

Z polecenia lekarzy Lili została znowu uwięziona w łóżku, a Brunon zmienił otomanę na fotel, który postawił tuż obok jej wezgłowia, tak, że mogła każdej chwili go zbudzić, lub ująć za rękę, co czyniła często, gdy usnął, jakby chcąc sprawdzić nie tylko wzrokiem, ale dotknięciem, że ktoś bliżki jest przy niej, gotów ją zasłonić przed widmem śmierci, której się bała, a myśl, że może umrzeć samotnie, napełniała ją panicznym lękiem.

Do Stefana napisała, że znów jest tak niezdrowa, iż leży.

TEODOR JESKE-CHOIŃSKI.

Katarzyna Sforza-Riario.

Kobieta-władca.

6

Nizkim ukłonem powitał ją kasztelan zamku, Tommaso Feo. Ona ujęła jego obie, twarde od miecza ręce, i ścisła je serdecznie.

— Przybyłam was odwiedzić, mój zany, kochany zbawco — mówiła głosem słodkim. — Bez waszej pomocy nie byłoby mnie już na tym świecie. Ci zdrający forlijscy byliby mi wydarli z piersi serce, które dla was bije, mój drogi Tommaso.

Zdziwił się kasztelan. Katarzyna nie miała zwyczaju ściskania rąk swoich podwładnych i przemawiania do nich z serdeczną uprzejmością.

— Spelnilem tylko obowiazek prawego żołnierza — rzekł.

— Może przejdziemy się po ogrodzie? Jestem ciekawa, czy się moje krzewy różowe przyjęły.

Szły obok siebie, rozmawiając o drzewach i kwiatkach. Tak blisko posuwała się obok niego, iż jej ramię ocierało się o jego ramię.

Coraz więcej dziwił się kasztelan. Skąd u niej ta nagła poufalskość? Zawsze wyprostowana dumnie, szorstka, skąpa w słowach, spoglądała na swoich oficerów z góry, często pogardliwie. Gorące było jej ramię. I jego krew zaczęła szybciej krażyć. Spojrzył na nią z ukosa. Czyby?... Znał jej kochliwość... Mimowolnym odruchem wyprostował się i pokręcił wężą. Ona ocierała się o niego coraz natęczywiej, magnetyzując go

W odpowiedzi otrzymała trochę niedowierzający list, na który nie wiedziała, jak mu odpisać. Duszę jej zawiółkł smutek, a potem otwarło się jakieś niewiadome źródło łez, które spływały czasem bez powodu, poczem następowała dziwna duszy cisza, w której zaczynało się rodzić nieśmiałe marzenie, że mogliby być teraz we troje.

Zdawało jej się, że jej stan uspio-nych pożądań cielesnych wyzjuje ich ze zmysłowych pierwiastków, że serdeczny pocałunek, ciepły uścisk dłoni, tkliwy wyraz wystarczy za wszystko, że mogą się stać zgodną, cicho kochającą się rodzina, że się poezya Stefana zbrata z wykonawczą energią Brunona i z tego zrodzi się jakiś uskrzydłony, piękny czyn.

I robiło jej się lekko na duszy: zaczął jej się śnić ten uroczy sen, w jego czarze utonęło widmo śmierci, pierzełby przejmujące do głębi obawy i jednocześnie rozrastała się tęsknota, by Stefan znalazł się przy niej.

Dalszy ciąg nastąpi.

wzrokiem węża. On zaczął drzeć febrą pożądania.

Usiedli na ławie pod rozłożystym drzewem igłowym.

— Cudnem jest życie na tej ziemi, gdy je osładza pocałunek miłości — szeptała Katarzyna, podniósłszy oczy ku niebu. — Nieszczęsny, kto nie iadł nigdy z drzewa Wenery.

Westchnęła, spuściła oczy i muskała ich oślepiającym blaskiem twarz kasztelana.

Tak patrzyła prawdopodobnie Ewa biblijna na Adama, gdy kusila go do grzechu.

Zerwała z drzewa kilka fig. Jedną z nich włożyła do swoich czerwonych, lubieżnych ust, drugą podała kasztelanowi.

— Jedz, mój drogi, przyjm z ręki przyjaciółki słodki owoc.

Waleczny żołnierz znał się doskonale na sztuce wojennej, ale o psychologii niewiasty nie miał wyobrażenia. Nie wiedział, że pleć, zwana słabą, umie posługiwać się po mistrzowsku całym aparatem zręcznej pomyślanej komedyi, gdy chce złowić lub wywieźć w pole pleć mocną. Gdyby był uniał czytać w oczach kobiety, byłby był w żrenicach hrabiny dostrzegł chochlaka, drwiącego z jego naiwności. Prostopoduszny, szczery, wierzył w każde jej słowo, w każdy ruch jej giętkiego ciała.

— Kocha mnie, pożąda moich pieszczot — radovalo się jego serce.

Szybkim ruchem objął hrabiny ramieniem. Ona wysłiznęła się z jego objęć ze zreżnością piskorza i biegła do zamku, wołając: do mojej sypialnej komnaty! On leciał za nią, jak opętany.

Wpadł do warowni, pędził po schodach na pierwsze piętro, gdzie Katarzyna miała swoje mieszkanie. Już był blisko jej sypialni, kiedy go z tyłu pochwyliły jakieś żelazne ręce i wepchnęły do ciemnego lochu. Drzwi zawarły się za nim, klucz zgrzytnął w zamku... Kasztelan był w więzieniu, nie wiedząc, co się z nim stało. Objął go szatański śmiech Katarzyny, tak głośny, iż przenekał mury.

— Zakpiła ze mnie ta dyablica — jęknął „kochany, drogi przyjaciel”.

Zakpiła z niego w istocie, odegrała rolę zakochanej rozmyślnie, aby się go pozbyć. Cała komedya obmyślała sama i przygotowała sobie kompanów. Z gotowym planem przybyła do Ravaldina. Znając dobroduszną naiwność kasztelana, była pewną wygranej.

Sprzyszydził się jej Ordelfafii, upatrzyła sobie na owego kochanka owego ładnego chłopca, którego spotkała na drodze — Jakóba Fea, brata kasztelana. Tego kochanka urzeba było umieścić w pobliżu miasta, aby się mogła z nim często widywać, trzeba było zapłacić jego miłość jakimś urzędem. Zamek Ravaldino wznosił się tuż pod miastem, urząd kasztelana należał do najwyższych w państewku Riariów.

Więc postanowiła usunąć z zaszczytnego stanowiska starszego brata, aby jego miejsce mógł zająć młokos, przeznaczony dla jej zabawy.

Trudno było wypędzić ze służby zasłużonego wojownika, szanowanego w hrabstwie. Pomogła jej szpetna przebiegłość. Podnieć go, odurzyć, pozwolić się objąć, abym go mogła oskarżyć o zniewagę majestatu władczyni — wykalkulowała.

Tak wynagrodziła nieczciwego żołnierza, który ją i jej rodzinę wydarł z krwią obryzanych szpon rewolucyi. — który ocalił jej życie i majątek...

Cóż ją, władczynię, obchodził jakiś tam kasztelan? Narzędziem jej był, użytym gratem, gdy przestał być potrzebnym.

Potrzebnym jej był teraz jego brat, świeży, gotowawy młodzieniaszek, niewyczerpany jeszcze wesołym życiem, potrzebny jej zmysłom, jej lubieżności. Odpowiadał widocznie jej gustowi, bo zasypała go po kilku miesiącach próby urzędami i zaszczytami, jakich się ubogi chłopak nie mógł spodziewać. Wyrobiła mu w Medyolanie godność rycerza, w Paryżu tytuł barona francuskiego, mianowała go namiestni-

kiem hrabstwa Forli i Imoli, oddała w jego ręce kasę i urządziła dla niego mieszkanie w swoim pałacu.

Jak Riariowi, przewróciło się i Jakóbowi Feo w głowie. Jak Riario, był i on nieokrzesanym brutalnym, gburtem bez żadnej kultury. Dolarczy do wyżyn, o jakich niezasłużony mieczem młokos nie mógł marzyć, nadał się, spyszniał, odgrywał niezręcznie rolę pana, władcy. Tyraniżował poddanych Katarzyny, znęcał się nad słabymi.

A ona, hrabina, odważna aż do zachwalstwa, pyszna aż do megalomanii, bezwzględna tyranka, nie znosząca cudzej woli, przebiegła, jak lis, zmiękla w jego ręku nihy wosk. Ulegała do tego stopnia kochankowi, iż przetrzała spokojnie na zniewagi i krzywdy, jakich ordynarny parweniusz nie szczędził nawet jej dzieciom. Namiętność seksualna była w niej silniejszą od pychy, rozumu i miłości dla dzieci.

Zachowywała się, jak ladaocznica, a domagała się czci, należącej się tylko uczciwej kobiecie. Jej przecieź, władczyni, wolno wszystko, a poddany nie wolno nic okrom milczącego posłuszeństwa. Bieda temu, kto by się ośmielił zaglądać do tajemnic jej grzechów. Na szubienicę takiego zachwalca, na tortury!

Obywateli, którzy się gorszyli jej rozpustną swawolą, wieszala, mistrza Sanoto di Sole kazała wychłostać tak bez litości, iż skonał pod batem; nadwornego kronikarza wtrąciła do więzienia.

Sprzyszydziły się miastu Forli rządu Jakóba Feo, sprzyszydziły się najwięcej dorastającym już synom Katarzyny. Najstarszego z nich, szesnastoletniego Oktowiana, uderzył ten intruz w twarz. Za tę zniewagę zapłacił życiem. Przyjaciele młodego Riaria zaszytyletowały go w oblczu całego dworu, gdy wracał z polowania (27 sierpnia 1495 r.).

Powtórzyła się tragedia forlij-ska. Pracowały znów tortury, miecz kata i szubienica; trupy powieszonych chwiała się na murach zamku.

Z furją ramionej tygryscy zuciła się Katarzyna na winnych i niewinnych, gasząc w potokach krwi ludzkiej rozpacz owdowiałej kochanki. Nawet własnych synów zamknęła w lochu, przeznaczonym dla zbrodniarzy.

Niedługo jednak trwała jej rozpacz. Nowy anant, Jan de Medici, zwany Popolano, ambasador florencki w Forli, osuszył jej lzy, zatarł w jej sercu pamięć Jakóba Fea. A gdy i tego wybrańca sprzątnęła śmierć (1498 r.), pocieszał ją Jan da Casale gorącą miłością, nie licząc innych, nieznanych historii kochanków.

VI.

Trzęsło się Forli ze strachu. Kto posiadał jakąś większą gotówkę, ten zabierał żonę i dzieci i uciekał, kogo

ubóstwo przykuło do miejsca, ukrywał się w piwnicach.

Bowiem od północy, od strony Imoli, nadciągało liczne wojsko. Cezar Borgia zbliżał się ze swojemi bandami, wzmocnionemi artylerya i piechota francuska. Imole już wziął. Teraz przyszła kolej na Forli.

Na wieży strażniczej zamku stała Katarzyna, otoczona swoimi kapitanami. Złożony szyszak świecił na jej głowie, srebrny napierśnik zakrywał jej biust, nagi miecz błyszczał w jej prawicy.

Pochylona, patrzyła z góry na długiego węża uzbrojonych ludzi, na długi łańcuch dudniących głucho armat rozmaitego gatunku. Przygryzła wargi, zmanszczyła czoło. Ogromny potwór toczył się wolno, groźnie przeciw stolicy jej hrabstwa.

Dokończenie nastąpi.

Echo.

*Śród ruin, zgłiszcz, ugornych pól
zbląkane w beznar echo wola
tych, którym serca zranil ból,
tych, którym smutek chmurzy czoła...*

*Ktokolwiek jesteś — pan, czy sluga —
jeśli ci serce w piersiach bije —
musisz uwierzyć: noc — choć dluga —
nie wiecznie wszystko w mrokach kryje.*

*I nie mów nigdy, że nie wróci,
co raz odeszło w przeszłość ciemna,
żeśmy urokiem złud zatruci
i że tęsknimy nadaremno.*

*Ktokolwiek jesteś — zbądź się pleśni,
pod którą serce w smutku kona.
Chociaż niejeden sen się prześni —
ku słońcu mocne przeź ramiona!*

*I nie mów nigdy, że ci wiare
krwią dławia próżne swąy co dnia,
że gonisz jeno złudną mare,
która wydziera ci z rąk zbrodnia.*

*Ktokolwiek jesteś — musisz wierzyć
i w dal obracać ciągle oczy —
ale nie w pustkę własnych przeżyć,
ale nie w proch, co robak toczy.*

*I nie mów nigdy, że napróżno
o chłodne głązy krwawisz ręce,
że sere oliara jest jałmużna,
po której trzeba konać w męce.*

*Ktokolwiek jesteś — wstań potężny
i w wichrach burz, śród gromów bicia
hymn Czynu śpiewaj niebosiężny!
Ktokolwiek jesteś — wstań do ŻYCIA!*

*Śród ruin, zgłiszcz, ugornych pól
zbląkane w beznar echo wola
tych, którym serca zranil ból,
tych, którym smutek chmurzy czoła...*

Zygmunt Michałowski.

Nióś ślepy kulawego.

— Kuzynek Antoś, jeśli się nie mylą!...

Zagabnięty tak podnosi wzrok z troskany ku górze, machinalnie uchylając kapelusza. Wnet jednak twarz mu się rozpogadza...

— Witam, witam kuzynkę!...

— Witam kuzynka!...

Kuzynkowie—oboje dobrze po czterdziestce — ściskają się serdecznie. Nie widzieli się od lat kilku...

— Mam już nareszcie...! — myśli z ulgą kuzynka...

Kuzynek, jednocześnie, upieszcza ciłą nadzieję:

— Chyba ona jedna...

I zwraca się do niej:

— Kuzynka ze wsi? Za interesami?

— Tak, po części za interesami męża: Towarzystwo, ubezpieczenie... Przy okazji, zabieram do siebie parę osób z rodziny i z pośród bliższych znajomych...

— Na całe lato?

— Tak: jedni na parę tygodni, drudzy na miesiąc, na dwa nawet...

Kuzynek zawiesza na twarzy kuzynki żalostliwe spojrzenie:

— Będzie gwarno i przyjemnie tego roku u kuzonostwa, jak zawsze zresztą...

Kuzynka spuszcza oczy. Parę lat temu jeszcze jak się to u niej bawiono!...

— A cóż kuzynek tego roku? Zostaje w Warszawie?

— Niestety — — — No, a jakże tam na wsi u państwa—zagaduje po chwili.— Dobrze wszystko, ma się rozumieć?

— Och, kuzynie... Budynki prawie wszystkie spalone, dwór podziurawiony, pszenicę grad wyfukł w polowie, kartofle tydzień temu pomarzęły... Ciężko, bardzo ciężko!...

— I mimo to chcą kuzynostwo mieć gości u siebie?

— Cóż robić? Trzeba się ratować nawzajem, jak można. Krów mamy jeszcze dziesięć, liczymy, że już ich nam nie zabiorą, jarzyny, drób... Jakoś tam — —

Z kolei kuzynka podnosi na kuzyna zafrasowane spojrzenie. Ociąga się jeszcze chwilę, wreszcie bierze na odwagę:

— Możeby tak kuzynek zdecydował się do nas na miesiąc? Miejsce się znajduje. Jest jeszcze facytka, prawie nieuszkodzona od szrapneli — niezbyt tam wykwinicie, ale od biedy — — —

— Och, kuzynka łaskawa...

Kuzynek pochyla się i w głębokim wrzuceniu całuje rękę kuzynki.

— Naprawdę, nie umiem kuzynce wyrazić, jak bardzo w porę przychodzi jej gościnną propozycja, bo właśnie w tej chwili rozmyślałem nad tem, co zrobić z sobą przez czas letnich miesięcy, kiedy — — —

Z kolei kuzynka wybucha rozradowaniem.

— I mnie również kuzynek spada, jak z nieba, bo jutro muszę już wracać, więc właśnie miałam iść do Kuryera, żeby podać ogłoszenie — — —

Na twarzy kuzyna maluje się podziw wzrastający... Pochyla się po raz drugi, by ucałować rękę kuzynki.

— Doprawdy, kuzynka zadaje sobie tyle trudu i poświęcenia! Teraz, kiedy drożyna staje się coraz większa, a produkty coraz gorsze — — —

— U mnie kuzynek może się nie obawiać! Za 2 ruble dziennie dam wam jeść, jak w najlepszym pensjonacie. Nawet wie kuzynek co? Za dwa miesiące

wzmę od kuzynka tylko 100 rubli, jeżeli kuzynek zapłaci mi zgóry, co kuzynkowi napewno nie zrobi różnicy...

Kuzynek słucha tego z rosnącym przerażeniem. Tymczasem kuzynka, zlekka zażenowana, odtworza sobie w myśli wspomnienia, jak to kilka lat temu, zaprosiwszy ją i męża, obwoził ich był kuzynek po wszystkich lokalach stolicy... Ile też wydać musiał wtedy przez jedną tylko noc!...

— Więc, kuzynku? Pojedzie kuzynek razem ze mną jutro?

— Niestety — bąka kuzynek zdruzgotany zupełnie — nie pojedą wcale...

E. L. Voynich.

Przekład z angielskiego przez H. J. P.

B A K.

25

POWIEŚĆ.

Gemma puściła mimo uszu to kłamstewko i ciągnęła dalej, jakgdyby jej wcale nie przerywał:

— To pańska słabostka do narażania życia, która pana popycha. Pan tak samo łakniesz niebezpieczeństwa, jakieś łaknął opium, gdyś był chory.

— Nie ja żądałem opium — odparł wyzywająco — to oni je w mnie gwałtem wmuszali.

— Być może. Pan pysznisz się swoim stoicyzmem; żądanie jakiejś fizycznej ulgi byłoby ujmą dla pańskiej dumy, ale narażać życie jedynie dlatego, by dogodzić rozigranym nerwom, wydaje się panu czemś zgola odpowiedniem. A przecież to w gruncie rzeczy na jedno wychodzi.

Bak podniósł głowę kota i popatrzył w jego okrągłe, srebrne oczy.

— Czy to prawda, Pasht? — rzekł. — Czy zasłużyłem na te wszystkie przykre rzeczy, które mi mówi twoja pani? Czy mam się bić w pierś za skruchą i powtarzać: *mea culpa, mea maxima culpa*? O! tyś mądry! Tobie się nigdy opium nie zachciwiał! Twoi przodkowie byli bogami w Egipcie i nikt im po ogonach nie deptał. Ciekawy jestem, co by się stało z twoją spokojną obojętnością na ziemskie niedole, gdybym tak wziął tę twoją, aksamitną łapkę i potrzymał ją nad świecą? Czy poprosiłbyś mnie wtedy o opium? Co? A może — o śmierć? Nie, koteczku; nie mamy prawa umierać dla dogodzenia sobie. Możemy prychać i kłać, jeżeli to nas pociesza; ale wara cofać łapę!

— Przestań pan — rzekła Gemma, odbierając mu kota i sadzając go na stołeczku. — Będziemy mieli dłużej czasu myśleć o tem wszystkim później. Teraz wyczerpmy całą naszą sprawność umysłową, by wynaleść jakiś sposób dopomożenia Domenichinowi. Co to, Katie? Gość jaki? Jestem zajęta.

— Miss Wright przysłała to, proszę pani, przez umyślonego.

— Dlaczego? Zająćcie nie pozwala?

— Nie zająćcie, a — — —

— Nie ma odwagi dokończyć: „brak zająćcia, kuzynku“... Nie chce przyznać się, że od roku jest bez posady. Nic nie mówi.

Kuzynka jednak rozumie, o co chodzi, i jest niemniej przerażona na myśl, że będzie musiała pójść do Kuryera i podać ogłoszenie: ona, która jeszcze trzy lata temu „gościła“ naprawdę u siebie przez lato około 20 osób z pośród bliższej i dalszej rodziny!...

B. Gorczyński.

Pakiecik był starannie opieczętowany i zawierał list zaadresowany do Miss Wright, lecz nie otwarty i z papieską marką pocztową. Dawne koleżanki Gemmy mieszkaly wciąż we Florencji i jej najważniejsze listy przychodziły dla bezpieczeństwa pod ich adresem.

— To znak Michele'go — rzekła Gemma, przejrząwszy szybko list, którego pozorna treść stanowiła kwestya najmu letniego mieszkania w Appelinach i wskazując na dwa kleksy w rogu papieru. — Pisz chemicznym atramentem; odczyniacz leży tam w trzeciej szufladce biurka. Tak: to to.

Bak położył list na stole i przeciągnął po nim małą szczołeczką. Gdy istotna treść ukazała się na papierze w mocno błękitnej barwie, rzucił na nią okiem i wybuchnął śmiechem.

— Co to takiego? — zapytała Gemma spiesznie.

Podał jej panier.

„Domenichino arestowany. — Przybywaj natychmiast“.

Gemma siedziała w milczeniu, trzymając list w ręku i patrząc bezradnie na Baka.

— I cóż? — zapytał wreszcie z lekką ironią. — Czy to przekonywa panią dostatecznie, że muszę jechać?

— Tak; musisz pan — odparła, wdychając. — I ja również.

Spojrzał na nią zdumiony.

— Pani również?... Ależ — — —

— Oczywiście. Niedobrze się składa, że tu nikt we Florencji nie zostanie, ale wszystkie względy ustąpić muszą wobec konieczności zapasowej pary rąk.

— Tam ich znajdę poddostatkiem.

— Ale nie takich, którymiś pan mógł zaufać bezwzględnie. Mówił pan sam przed chwilą, że tam konieczne dwie odpowiedzialne osoby są potrzebne; a jeżeli Domenichino nie mógł sobie sam poradzić, to tembardziej pan tego nie dokażesz. Bę-

dąc tak poważnie skompromitowanym i tak pilnie śledzonym. Więc muszę jechać? Zamiast Domenichina i pana, będę ja i pan.

Siedział przez chwilę zamyślony ze ściągniętymi brwiami.

— Tak; masz pani słuszość — rzekł — a im wcześniej wyruszymy w drogę, tem lepiej. Ale nie możemy jechać razem. Jeżeli ja pojadę dziś na noc, to pani jedź, powiedzmy, jutro po południu.

— Gdzie?

— Nad tem trzeba się zastanowić. Myśle, że ja pojedę prosto do Faenzy. W Borgo San Lorenzo postaram się o przebranie i ruszę dalej, nie zwlekając.

— Tak; niema innej rady — rzekła Gemma posępnie. — Ale to wielkie ryzyko taki pospieszny wyjazd, bez obmyślenia naprzód przebrania. Pan powinienbyś mieć przynajmniej ze trzy dni dla zatarcia śladów, nim przejdziesz granicę.

— Nie lękaj się pani — odparł z uśmiechem — mogą mnie schwytać gdzieindziej, ale nie na granicy. A raz gdy się dostanę w góry, to będę tam tak bezpieczny, jak tutaj; nie znajdzie się w całych Apenninach przemytnika, któryby mnie zdradził. Z pania będzie trudniejsza sprawa. Nie mam pojęcia, jak się przedostaniesz.

— O! bardzo łatwo. Wezmę pasport Ludwika Wright i pojedę na letni wypoczynek. Nikt mnie nie zna w Romani. Natomiast każdy szpieg zna pana.

— Na szczęście i każdy przemytnik.

Gemma spojrzała na zegarek.

— Wpół do trzeciej. Mamy tedy resztę południa i wieczór do rozporządzenia, jeżeli pan chcesz wyruszyć na noc.

— Pójdę zatem prosto do domu i wszystko tam załatwię, poczem postaram się o dobrego konia. Pojadę konno do San Lorenzo; tak będzie bezpieczniej.

— Ale niebezpiecznie będzie najmować konia. Właściciel może —

— To też nie będę go naimował. Znam kogoś, kto mi go pożyczycy i komu zaufać mogę. Ten człowiek już mi niejedną przysługę wyświadczył. Jeden z pasterzy odrowadzi konia za dwa tygodnie. Wróć tu około piętej; a przez ten czas niech pan zechce zobaczyć się z Martinim i wszystko mu opowiedzieć.

— Z Martinim? — zawołała Gemma zdumiona.

— Tak; musimy dopuścić go do tajemnicy; chyba, że pani masz na myśli kogoś innego.

— Nie rozumiem pana.

— Musimy mieć tu kogoś, komu możemy zaufać w razie jakiegóż nieprzewidzianego niebezpieczeństwa; a z całej tutejszej paczki Martin jest najgodniejszym z ufania. Riccardo, oczywiście, zrobiłby dla

nas wszystko, co byłoby w jego mocy, ale zdaje mi się, że Martini ma trzeźwiejszą głowę. Zresztą, pani znasz go lepiej, więc będzie jak postanowisz.

— Nie mam najmniejszej wątpliwości co do tego, że na Martinim w pełni polegać można, i sądzę, że nam nie odmówi swojej pomocy, ale —

Zrozumiał natychmiast.

— Gemmo, co byś czuła, gdybyś się dowiedziała, że towarzysz będący w ciężkiej potrzebie nie odwołał się do ciebie o pomoc, jakiejbyś mu mogła udzielić, z obawy, aby cię nie urazić? Czy uważałbyś, że ta delikatność jest właściwą?

— Bardzo dobrze, zatem — odrzekła po chwili — pośle po niego Katie z prośbą, aby natychmiast przyszedł; a przez ten czas pójdę do Ludwika po pasport. Obiecała pożyczyc mi go na każde zażądanie. A jakże będzie z pieniędzmi? Czy mam podnieść jaka sumę z banku?

— Nie; nie trać pani na to czasu; mam jeszcze tyle, że to na jakiś czas wystarczy. Później, gdyby zabrakło, zacznijemy czerpać z funduszków pani. Do wpół do szóstej zatem. Zastanę już panią w domu?

— O, tak; wróć niedługo.

Gdy przyszedł w pół godziny po oznaczonym czasie, zastał Gemmę i Martiniego siedzących na tarasie. Poznał od pierwszego rzutu oka, że rozmowa ich musiała być burzliwą; oboje byli podnieceni, a Martini był niezwykle ponury i milczący.

— Załatwiłeś pan wszystko? — spytała Gemma.

— Tak; i przyniosłem pani trochę pieniędzy na drogę. Koń będzie gotów dla mnie przy Ponte Rosso o pierwszej w nocy.

— Czy to nie zapóźno? Powinienbyś pan być w San Lorenzo, nim się miasto obudzi.

— Tak i będzie; to bardzo szybki koń, a nie chcę wyjeżdżać stąd wcześniej, by kogo nie spotkać. Nie wróć już do siebie. Czatuje tam koło drzwi szpieg i myśli, że jestem w domu.

— Jakże pan wyszedłeś, że pana nie zobaczył?

— Przez okno kuchenne, które wychodzi na sąsiedni ogród, i potem przez parkan; dlatego się spóźniłem. Zostawiłem właściciela konia, żeby siedział cały wieczór w moim gabinecie przy lampie. Gdy szpieg zobaczy światło w oknie i cię na roście, będzie przekonany, że siedzę w domu i piszę.

— Więc pozostaniesz pan u mnie do chwili odjazdu?

— Tak; nie chcę, żeby mnie widziano na ulicy wieczorem. Masz cygare, Martini? Wiem, że Signora Bolla pozwala palić.

— Tembardziej, gdy mnie nie ma. Zostawię panów tutaj i pójdę pomódz Katie w przyrządzaniu obiadu.

— Gdy wyszła, Martini wstał i zaczął się przechadzać po tarasie z rękami w tył założonemi. Bąk siedział, paląc cygare i patrząc w milczeniu na padający sennie drobny deszczyk.

— Rivarez'ie! — zaczął Martini, stanąwszy przed nim z oczyma utkwionemi w ziemię — w co ty ją wciągasz?

Bąk wyjął cygare z ust i puścił długi kłęb dymu.

— Wybrała sama — rzekł — bez żadnego nacisku z niczyjej strony.

— Tak, tak, wiem. Ale, powiedz mi —

Urwał.

— Powiem ci wszystko, co będę mógł.

— A więc — nie wiem nic o szczegółach tej całej sprawy — ale, czy grozić jej tu może jakie poważne niebezpieczeństwo?

— Chcesz wiedzieć prawdę?

— Chce.

— A więc — tak!

Martini odwrócił się i zaczął znów chodzić tam i napowrót po tarasie.

— Chciałbym zadać ci jeszcze jedno pytanie. Oczywiście, możesz mi na nie nie odpowiedzieć, ale jeżeli odpowiesz, to szczerze. Czy ty się w niej kochasz?

Bąk strząsnął uważnie popiół z cygara i palił dalej w milczeniu.

— To znaczy, że nie chcesz mi odpowiedzieć?

— Nie; tylko myślę, czy mam prawo wiedzieć, dlaczego mnie o to pytasz.

— Dlaczego? Boże wielki! Czy nie rozumiesz, dlaczego?

— A! — Bąk położył cygare i popatrzył bystro na Martiniego. — Tak — rzekł wreszcie z wolna i cicho. — Kocham się w niej. Ale nie sądzę, że wyznam jej kiedykolwiek moją miłość. To wykluczone. Co innego mam przed sobą. Ja wiem, że...

Głos załamał mu się nagle. Martini przystąpił bliżej.

— Że co?

— Że idę na śmierć.

Patrzył prosto przed siebie tępym, nieruchomym wzrokiem, jak-gdyby już był trupem. A gdy znów zaczął mówić, głos jego był dziwnie martwy i jednostajny.

— Nie mów jej o tem naprzód — rzekł — ale co się mnie tyczy, niema iskierek prawdopodobieństwa, żebym ocalał. Niebezpieczna to rzecz dla każdego, przemytnicy jednak potrafią zapobiedz, żeby ją ujęto. To do brzy ludzie pomimo swych szorstkich pozorów. Ale ja, — ja mam już powrót na szyi, i gdy tylko przekrocze granicę, węzeł się zaciśnie.

— Skąd ta pewność, Rivarez'ie? Wiem, że tobie grozi podwójne niebezpieczeństwo; tak często jednak przekraczałeś dotąd granicę i zawsze pomyślnie.

— Tak; ale tym razem powinie mi się noga.

— Dlaczego? Skąd ta pewność, powtarzam!

Bak uśmiechnął się pośepnie.

— Pamiętasz niemiecką legendę o człowieku, który umarł, gdy spotkał swego sobowtóra? Nie? Ukazał mu się nocą na pustkowiu łamiący rozpaczliwie ręce. Otóż ja go zobaczyłem, gdy był po raz ostatni w górach; i skoro teraz przejdę granicę, nie wrócę więcej.

Martini stanął nad nim i położył rękę na poręczu jego krzesła.

— Rivarez'ie! Nie rozumiem ani słowa z całej tej metafizycznej gmatwaniny; ale rozumiem jedno. Jeżeli jesteś w takim nastroju, nie powinienes jechać. Najpewniejszy sposób wpadnięcia w ręce wrogowi, to wewnętrzne przeświadczenie, że się wpadnie. Musisz być chory, zdenerwowany, że sobie takimi urojeniami zaprzątasz głowę. A gdybym ja pojechał zamiast ciebie? Co tam jest do zrobienia, to zrobić potrafie; dałbyś mi tylko zlecenie od twoich ludzi i — —

— I posłałbym cię na śmierć? Tak; to byłoby bardzo mądre.

— O! pogóż zaraz na śmierć! Mnie tam nie znają. A zresztą, gdybym nawet nadłożył głowę — —

Urwał; Bak z wolną podniósł na niego pytające spojrzenie. Ręka Martiniego opadła.

— Ona by tego tak nie odczuła — rzekł po chwili Martini spokojnie. — A przytem, Rivarez'ie, to sprawa publiczna; i musimy patrzeć na nią z punktu widzenia użyteczności. Twoja wartość polityczna jest większą, niż moja; mam dosyć rozumu, żeby to ocenić, choć nie powiem, że bym cię specjalnie lubił. Czy jesteś lepszym odemnie, jako człowiek, tego nie wiem; ale to wiem, że twoja śmierć byłaby większą stratą, niż moja.

Mówił takim tonem, jakgdyby chodziło o kursa papierów na giełdzie. Bak wzdrygnął się mimowolnie.

— Mam-że czekać, aż mój grób sam się otworzy, aby mnie pochłonać? Słuchaj, Martini, pleciemy od rzeczy.

— Ty — z pewnością — odparł Martini szorstko.

— I ty również. Na miłość Boską nie wpadajmy w romantyczny sentymentalizm, jak Don Carlos i Poza. To wiek dziewiętnasty; i jeżeli moja rzecz jest umrzeć, to się od tego nie wybiegam.

— Również, jak ja, jeżeli moja rzecz jest żyć. A tyś jest szczęśliwszy, niż ja, Rivarezie.

— Tak — przytaknął Bak lakonicznie — ja byłem zawsze szczęśliwy.

Palili przez chwilę w milczeniu, poczem zaczęli rozmawiać o szczegółach sprawy. Gdy Gemma przyszła wezwać ich na obiad, nie w ich

twarzach i obejściu nie zdradzało, że coś niezwykłego zaszło pomiędzy nimi. Po obiedzie gawędzili, zajmowali się potrzebnymi przygotowaniem do jedenastej, poczem Martini wstał i wziął kapelusz.

— Pójdę do domu po mój podróżny płaszcz. Rivarezie. Mniej w nim będziesz widocznym, niż w tym twoim jasnym garniturze. Odprowadzę cię też trochę, by się upewnić, że się gdzie jakiego szpieg nie włóczy.

— Odprowadzisz mnie do rogatki?

— Tak. Zawsze co dwie pary oczu, to nie jedna. Wrócę o dwunastej. Tylko nie odchodź bezemnie. Wezmę lepiej klucz od drzwi wchodowych, Gemmo, by nie budzić nikogo dzwonieniem.

Gdy brał klucz, podniosła na niego oczy. Zrozumiała, że wymyślił ten pozór, by ją zostawić samą z Bakiem.

— Pogadamy jeszcze jutro — rzekła. — Będziemy mieli dosyć czasu, gdy się skończy pakować.

— O! tak! Zupełnie dosyć. Chciałbym jeszcze zapytać cię o parę rzeczy, Rivarezie, ale omówimy je w drodze do rogatki. Poślij Katie spać, Gemmo, i oboje zachowujcie się jaknajciszej. Do dwunastej zatem.

Wyszedł, skinawszy im głową z uśmiechem i zatrzasnął silnie za sobą drzwi frontowe, by sąsiedzi mogli usłyszeć, że gość Signory Bollj opuścił jej dom.

Gemma poszła do kuchni wyprawić Katie do łóżka i wróciła z czarną kawą na tacce.

— Może pan położyłbyś się trochę — rzekła. — Masz przed sobą bezsenność.

— Och! nie. Prześpię się w San Lorenzo, przez ten czas, gdy mi będą szykować przebranie.

— Więc napij się pan kawy. Poczekaj chwilę; dam ci do niej biskoptów.

Gdy uklęknął przed szafką, on nagle pochylił się nad nią.

— Co pani tam masz? Czekoladki; i angielskie cukierki? Ależ to królewskie przysmaki.

Spojrzała na niego, uśmiechając się blade.

— Lubisz pan słodczy? Mam je zawsze dla Cezara, który przepada za łakociami, jak dzieciak.

— O.., doprawdy? No, to musisz mu pan kupić innych jutro, bo ja te ze sobą w drogę zabiorę. To mnie pociesz, po straconych radościach życia. Tuszę sobie, że mi dadzą angielskich cukierków tego dnia, kiedy mnie powieszają.

— To włóż je panu w pudełeczko. Czy i czekoladki także?

— Nie; czekoladki zjem teraz razem z panią.

— Kiedy ja nie lubię czekoladek; natomiast chciałabym, żebyś pan usiadł i porozmawiał rozsądnie. Może już nam się nie zdarzy po temu sposobność i — — —

— Nielubi czekoladek — szepnął Bak do siebie. — Ha! to muszę sam ucztować, jak skazaniec. A skazańców niczego się nie odmawia, nieprawdaż? Usiądź więc pani, w tym fotelu, a skoro mi pozwoliłaś położyć się, to ja się tutaj położę i będzie mi doskonale.

Rzucił się na dywan u jej stóp, opierając łokieć o krzesło i patrząc z dołu na nią.

— Jakaś pani błada — rzekł. — To dlatego, że bierzesz życie smutnie i nie lubisz czekoladek.

— Bądź pan poważnym przez pięć minut. To przecież chodzi o życie lub śmierć.

— Ani przez jedną minutkę, droga pani. Zarówno życie, jak śmierć nie są tego warte.

Ujął obie jej ręce i gładził je zlekka końcami palców.

— Nie bądź tak smutną. Minerwo, bo się rozplacze i będzie ci żal potem. Uśmiechnij się do mnie; masz taki za... zachwycający uśmiech. No, no; nie łaj mnie, droga. Zjedźmy razem biskoptki, jak dwoje grzesznych dzieci, nie kłóćąc się przy nich — albowiem umrzemy jutro.

Wziął biskoptek z talerza i podzielił go starannie na dwie połowy, przełamując pośrodku lukrowanej gwiazdki ze skrupulatną dokładnością.

— Tak... napijmy się wina z jednej szklanki... po raz pierwszy i ostatni... Tak; uczyni to na pamiątkę...

Gemma postawiła szklankę.

— Przestań pan — szepnęła z czemś w rodzaju łkania. On spojrzął i ujął znów jej ręce.

— Cyt, zatem. Posiedźmy sobie trochę spokojnie. Gdy jedno z nas umrze, drugie będzie o tem pamiętało... Zapomnimy o tym wrzaskliwym, natrętnym świecie; pójdziemy ręka w ręka; pójdziemy w tajemnicze doliny śmierci i spoczniemy pośród powoi... No, no; już cicho!

Oparł głowę o jej kolana, kryjąc twarz. Gemma pochyliła się nad nim w milczeniu i położyła rękę na jego czarnych włosach... Czas mijał, a żadne z nich nie poruszyło się i nie odezwało.

— Drogi, już blisko dwunasta — rzekła wreszcie Gemma.

Bak podniósł głowę.

— Mam jeszcze tylko kilka minut. Martini wróci zaraz. Może nie zobaczymy się już nigdy w życiu. Czy nie masz mi nic do powiedzenia?

Wstał z wolną i odszedł na drugi koniec pokoju.

— Mam tylko jedno do powiedzenia — zaczął ledwo zrozumiałym głosem — tylko jedno — —

Dalszy ciąg nastąpi.



Pan Jan — wyborca.

Akurat rok temu dowiedział się mój przyjaciel Jan, że będzie musiał oddać niebawem swój głos na rajcę samorządowego. Poszedł na zebranie nawet, gdzie długo i nudno wykładano mu o laskach petrogradzkiej ustawy samorządowej, o mękach, trwogach i bólach poselskich i, co najważniejsze, utkwilo mu w pamięci:

Samorząd jest instytucją drogą!

Na kurę rosyjską i żydowską niewiele zwracał uwagi. Wieceznie zajęty interesami, ani spostrzegł się, jak w Warszawie zginęła jedna kurka. I wtedy niewiele przejął się zmianą frontu, tylko przy obiedzie zakomunikował:

— Jak Boga kocham — najgorzej, to wiadomo, na czymby można robić interesy.

Na co odrzekła poważnie i sentencyonalnie pani Janowa:

— Tylko produkty spożywcze teraz rentują.

Wziął się więc pan Jan z energią i uporem za produkty spożywcze, choć dotychczas robił, jak i cała Warszawa, z powodzeniem w żelazie. Niebawem na Jasiowej lśniła brylantowa brosza. Jaś zaś zaczął zdradzać tak obrzydliwą ignorancję, iż nie wiedział wcale, w których Belgrad znajduje się rękach. Došlo do tego, że nie po za cenami produktów nie interesowało go ani zajmowało. Dogadzało to też upodobaniom matki, jako że matki zawsze cieszą się powodzeniem i powagą zainteresowań dzieci. Cóż obecnie interesuje jednak wszystkie matki ponad ceny produktów. Na chwilę obudził się pan Jan z „produkcyjnego” letargu podczas obchodu uroczystości trzeciego maja. Z dumą kroczył w pochodzie i przy obiedzie roztkliwił się niepomiernie. Spostrzegł się jednak i wycedził pod nosem refleksyę: — Jak też stać będzie jutro waluta rosyjska!

Oszczędności robił bowiem w walucie rosyjskiej.

Zapracowany, zalatany, ani spostrzegł się, jak znów zaproszono go na zebranie w sprawie samorządu miejskiego. Z początku przypuszczał, że to zaproszenie stare, dawne, z przed roku. Obejrzał jednak starannie i zdziwił się: znów ten samorząd. Może trzeba będzie odświeżyć i dawne interesy koło pracy w żelazie? Kto wie!

Gdy wyszedł na ulicę, długo stał na rogu i czytał obwieszczenia w sprawie wyborów. Dotychczas tylko odczytywał kary na spekulantów żywnościowych, a i to niechętnie. Niewiele widocznie wykombinował z obwieszczenia, bo apatycznie wyznawał:

— Znów samorząd. I pewno drogi. Już to wiem.

Na zebranie przedwyborcze poszedł. Nie wypada nie iść. Korporacja prosi. Siedział i słuchał wywodów przez cały wieczór i, co najważniejsze teraz zapamiętał, że wybory będą proporcjonalne.

Przy obiedzie pytał swojej żony, którą poczytuje za źródło wszelkich wiadomości politycznych, społecznych, literackich i teatralnych:

— Moja droga, nie wiesz, co to są proporcjonalne wybory?

Jasiowa jednak nie umiała odpowiedzieć. Zakomunikowała tylko:

— Pisał o tem „Kuryer Polski”, ale to trudno zrozumieć.

— Mówili też na zebraniu, nie mogłem się jednak połapać.

— W każdym razie, zapisz się na listę wyborców.

— Kiedy nie wiem, gdzie.

— Adres ci znaję.

— Żebym wiedział, jak to należy zrobić...

— No — to wstyd, żebyś nie wiedział.

Jaś pomyślał, że może to i prawda, iż wstyd nie wiedzieć. Zrobił minę poważną i tajemniczą. Wszystko już wiedział. Tylko z zapisem nie kwapił się. Znaniemu wygadają się przed nim, co, kogo i jak — to wtedy spełni swój obowiązek obywatelski. Zapisze się jednak napewno. Jakby wyglądał w oczach żony!

W cukierce przysłuchiwał się, że są już komitety, czytał różne odezwy, co niewiele mu mówiło. Gdyby wystawili nazwisko jakieś znane, np.: Głosować na księcia Lubomirskiego, to byłoby wiadomo. A tak, nie wiedział, co począć. Zmartwił się trochę i jak wrócił do domu, odszukał pisma codzienne z kilku dni i do poduszki wziął. Czytał z przejęciem, z powagą i uroczystością...

Przyszedł niebawem błogi sen. Zwiadziały mu się fantastyczne majaki ubiegłego roku. Kołysały go do marzeń. Liczył zarobki na żelazie. Kalkulował samorząd z kurką żydowską i rosyjską.

Gdy obudził się, z irytacją żonę swojej oznajmił:

— Wybierać, wybierać. Już dziś zapiszę się na listę wyborczą.

Zawsze żelazo — to nie produkty spożywcze.

Kuls.

wszyscy potrzebę odrodzenia duchowego; czujemy, że zło naszego życia tkwi głównie w braku szlachetnych idei; rozumiemy wreszcie, że nauka Zbawiciela, przelana w życie codzienne, stanowi istną potęgę rozwoju charakteru”.

Jako materiał do dyskusji w szkołach średnich w przedmiocie moralności, charakteru, praca ks. Oraczewskiego służyć może z pożytkiem.

Projekt reformy szkolnictwa.

Dyr. Tadeusz Sierżputowski napisał broszurę p. t. „Projekt reformy szkolnictwa”. W projekcie swym kładzie prof. Sierżputowski głównie nacisk na to, by szkolnictwo nasze dawało praktyczny program nauk. Autor mówi: „Rezultatem tego jest, że uczeń opuszczający mury szkoły średniej nie jest uzdolniony właściwie do zajęcia jakiegokolwiek placówki praktycznej w społeczeństwie, a z drugiej strony, jest nader słabo przygotowany do studiów wyższych, wymagających samodzielności”. Walczy też prof. Sierżputowski z przeciętnością ucznia praca umysłowa i powiada: „Ważnym przykładem do szkoły średniej, 5 godzin pracy w gmachu szkolnym w połączeniu z 2 lub 3 godzinami pracy w domu stanowi 8 godzin pracy umysłowej dla rosnącego młodzieńca!” W związku z temi założeniami buduje p. Sierżputowski szczegółowy plan „cyklowy” nauczania, który powinien zainteresować tak rodziców, jak i sfery pedagogiczne. Interesujące są uwagi o nauczycielstwie, a w szczególności o nauczycielach, pracujących na polu ludowym.

Piotr Czarski.

P. Jerzy Centnerszwer napisał powieść p. t. „Piotr Czarski”. Powieść ta jest pewnego rodzaju studium psychologicznym. Niektóre obserwacje są nawet ciekawe, nie przesadzają jednak literackiej wartości książki. Tylko ludzie o zamiłowaniach interesowania się innymi osobistościami będą mogli przebrnąć przez te zawile liany metafizycznych rozważań p. Piotra Czarskiego. Nie przypuszczam, by inni bohaterzy mogli więcej kogoś wzruszyć, choć np. o Annie Sten mówi autor: „Była wielką sprzecznicią i ośniewającą pochłonią, która oświecić mogła męską treść jedną i wybujałą” (Str. 47). P. Centnerszwer stanowczo jest więcej ciekawy, gdy interpretuje dzieła malarstwa renesansowego. „Piotr Czarski” w dorobku jego literackim zostanie napewno jako wspomnienie z medytacji „Ueber Kraft”.

Za Ojczyznę.

P. Julia Kisielewska wydała zbiór wierszy, opowiadań i opisów do dziejów porobiorczych: powstania Kościuski, legionów i Księstwa Warszawskiego. Książka ta jest bardzo pouczająca i pożyteczną lekturą dla szerokich mas. Służyć też może doskonale, jako podręcznik do pogadań historycznych dla szkół początkowych, rzemieślniczych, a nawet i dla troskliwych matek o dusze swych dzieci może się stać świetnym informatorem i przewodnikiem w pogłębianiu uczuć narodowych.



Studia nad rozwojem charakteru.

Ks. Czesław Oraczewski napisał książkę p. t. „Studia nad rozwojem charakteru”. Chodzi w niej o to, by „rozwojowi charakteru poświęcić dziś conajmniej tyle uwagi i troski, ile się poświęca rozwojowi władz umysłowych i fizycznych”. Ks. Oraczewski sądzi, że „jeżeli jednostka nie wyrobi w sobie charakteru, a ogół ludzi nie wzbudzi w sobie poczucia odpowiedzialności moralnej, to wspólne życie ludzkie sprowadzi ostateczny zanik zmysłu moralnego i kompletnie obaląmucenie sumień”. Przypuszcza przyszem, że „umieć rządzić sobą w znaczeniu moralnym, to warunek prawdziwej autonomii w dziedzinie politycznej i narodowej”. Jak zaś należy prowadzić tę naukę tworzenia charakterów, podaje ks. Oraczewski w szeregu rozdziałów o kształceniu woli.

Praca ks. Oraczewskiego może być interesująca rozprawką i podręcznikiem dla prefektów szkół średnich. Moralność w niej zawarta obraca się stale koło maksymy chrześcijańskiej. Ks. Oraczewski mówi bowiem: „Pogłębiając własnego ducha i obcując z ludźmi, odczuwamy